Nr. 21 Rok 1 Kraków, dnia 3. listopada 1940. 30 gr.

Ilustrowany Kurjer Polski





Na jednej ze stacyj na granicy francusko-hiszpańskiej odbyła się rozmowa Adolfa Hitlera z generałem Franco. Krótko przedtem przyjął Hitler obecnego francuskiego min. spraw. zagran. Lavala, a niedługo potem odbyła się w Paryżu rozmowa jego z francuskim szefem państwa marsz. Petain

Fot. Presse Ill
Otto Rösner

W. C. – Coraz ciężej mi to idzie.!...





Szef państwowy Francji – marszałek Petain



Nowy francuski minister spraw zagranicznych — Laval



Minister Eden szukał podczas swojej nieudałej podróży po Egipcie i nad morzem Śródziemnym nowych sprzymierzeńców dla Anglii.

TYDZIEŃ DYPLOMACJI





Wodzowie dwóch mocarstw osi Adolf Hitler i Benito Mussolini spotkali się we Florencji celem omówienia ważnych spraw nowego porządku w Europie.



ROK GENERALNEGO GUBERNATORSTWA

Przemarsz oddziałów Wehrmacht i policji przed Generalnym Gubernatorem dr. Frankiem i wysokimi gośćmi z Rzeszy na Adolf Hitler-Platz w Krakowie.

NASZYJNIK Z KORKÓW OD SZAMPANA



NASZYJNIK Z ANTENY POKOJOWEJ Z WIESZAKAMI NA UBRANIA



Fot. Weltbild (4) Ass. Press (3) Atlantic

DAMY ANGIELSKIE
PROJEKTY NOWEJ MODY JEDNEGO

Londyn w deszczu bomb. Dzień w dzień i noc w noc. Winston Churchill obserwuje pełen niepokoju wysiłki angielskiej obrony przeciwlotniczej podczas nieustannych ataków lotnictwa niemieckiego.



NASZYJNIK Z KAPSUŁEK Z FLASZEK OD PIWA



NASZYJNIK ZE STARYCH ROLEK FILMOWYCH



W BIŻUTERII WOJENNEJ

Z CZASOPISM ANGIELSKICH

Żadna reklama dymna w powietrzu, lecz żarzące się smugi dymu z rur wydechowych niemieckich samolotów typu Messerschmidt walczących w nocy z angielskimi myśliwcami nad Londynem.

Od piątku ostatniego tygodnia startują do Anglii razem z samolotami niemieckimi także samoloty włoskie. Punktem wyjścia jest obsadzone wybrzeże oceanu Atlantyckiego.













Oto jedna z wielu kobiet, które za pośrednictwem Urzędu Pracy w Krakowie otrzymały możność zarobku i zdobycia chleba. Dzisiaj ma ona znowu zapewniony byt i zajmuje wyznaczone sobie miejsce w fabryce czekolady Suchard, gdzie zręcznie i starannie wypełnia swój obowiązek.

Fot. Borek — I. K. P.

PRACUJEMY

WIZYTA W KRAKOWSKIM URZĘDZIE PRACY



Pracuję przy budowie wielkiego mostu na Dunaju. Praca jest co prawda ciężka, lecz na utrzymanie nie mogę się skarżyć. Jesteśmy pomieszczeni w specjalnie dla tych robotników urządzonych pomieszkaniach, gdzie niczego nie brakuje. Jest tam specjalna umywalnia, łazienka, pokój mieszkalny, kuchnia tyrolska, w której także niczego nie brakuje. Na śniadanie dostajemy dużą bułkę, i białą kawę, obiad jest z dwóch dań, 12 dkg wędliny lub masła, wszystko to jest jeden posiłek, oprócz tego pół kilo chleba. Muszę ci też donieść, że panuje tu zupełny spokój, ani śladu wojny. W sklepach można wszystko dostać. Chleb, tłuszcz, cukier, masło itd. i wszystko dużo taniej niż w Krakowie. Co do stosunków między naszymi pracodawcami i nami, nie mogę też narzekać. Powiem tylko, że są ludźmi, co daje dużo do myślenia.

Te zdania napisał jakiś krakowski robotnik, który jako jeden z pierwszych poszedł za wezwaniem Biura Pośrednictwa Pracy i zgodził się na pracę w Rzeszy. Wiele tysięcy podobnych listów można przedłożyć. Są one adresowane do żon, matek, narzeczonych i dzieci ale także do Biura Pośrednictwa Pracy, które było pośrednikiem Rzeszy. Wielu z tych, którzy odnosili się z nieufnością do niego, zmienili zdanie w międzyczasie. Gdyż droga przez biuro przy ul. Lubelskiej w Krakowie prowadziła do pracy i dała znowu chleb rodzinie.

Samo Biuro Pośrednictwa Pracy w Krakowie wysłało do Rzeszy 27000 robotników rolnych, 5000 robotników budowlanych w żelazie, do tego dochodzi wiele kobiet. Ale także w Generalnym Gubernatorstwie miejscu zamieszka-

Na lewo: Dzień w dzień ugniatają ciężkie walce nowe ulice, nowe drogi.











Tutaj znowu widzimy dwóch z niezliczonych przed rokiem bezrobotnych, którzy teraz pracują znowu w swoim dawnym zawodzie jako pomocnicy murarscy i którzy są szczęśliwi, że wreszcie skończyli z tym okropnym życiem w bezczynności.

ZNOWU...

nia ich rodzin, znalazło wielu Polaków zatrudnienie. W czasie od października 1939 do września 1940 zatrudniło Biuro Pośrednictwa Pracy 15547 mężczyzn i 2480 kobiet. Dalszych 5000 osób znalazło zatrudnienie w wielkich przedsiębiorstwach na żądanie tychże, ale także przy współpracy Biura. W październiku ub. r. stało dziennie tysiące osób przed Urzędem Pracy w Krakowie, dzisiaj jest tych bezrobotnych tylko 7000 w porównaniu z 48000 sprzed roku. W ciągu tego czasu wypłacono 4.700.000 złotych zapomóg, 1.300,000 specjalnych zapomóg i 517000 złotych wydano na ubezpieczenia robotników. Jeżeli przedsiębiorca ma zamiar zatrudnić nowego pracownika, musi mieć do tego zezwolenie Biura Pośrednictwa Pracy. Nikomu nie wolno zmieniać miejsca zatrudnienia bez zgody Urzędu. W ten sposób chce się sprawdzić liczbę zatrudnionych lub zatrudnić stosownie do kwalifikacyj. W pewnych wypadkach zaszła konieczność przeszkolenia ludzi do innego rodzaju pracy. Jeżeli nie dało się zatrudnić pracownika w miejscu jego zamieszkania, wtedy posyła się go gdzieindziej. A jeżeli rodzina zatrudnionego nie ma wtedy wystarczających środków do życia, płaci się w tych wypadkach dodatek za rozłączenie. Biuro Pośrednictwa Pracy nie tylko daje pracę, nie tylko wypłaca zapomogi lecz czuwa także nad bezpieczeństwem pracowników, zarządza usuwanie szkodliwych i nieużytecznych maszyn, przeprowadza kontrolę przedsiębiorstw i podaje projekty nowych taryf. Wreszcie do zadań Urzędu należy także zaopatrzenie poszkodowanych przez wojnę.

Na prawo: „Hej-rób!" Znowu jeden fundament pod budowę w tym wielkim planie rozbudowy Generalnego Gubernatorstwa.







NIESAMOWITE CIEKAWOSTKI

Powyżej: Fred Snite junior i jego żona.

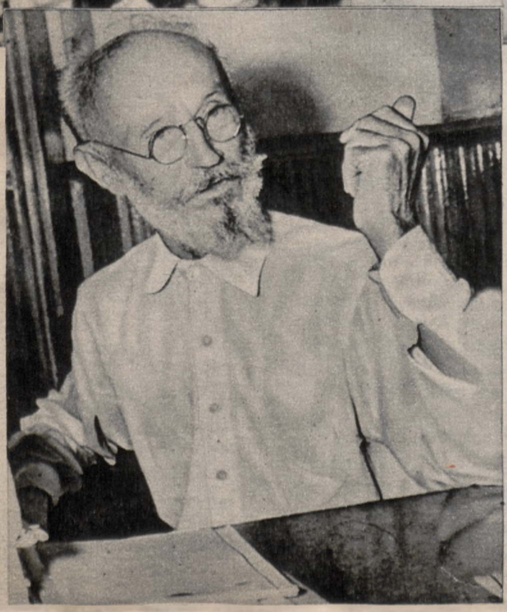
Po lewej:

Szczęśliwy ojciec pozostający w dalszym ciągu w uścisku żelaznego aparatu, spogląda zadowolony na zdjęcie, przedstawiające jego pierworodną córkę, którą mu pokazuje mr. Snite, senior.

Swego czasu wielką sensację wywołał w świecie syn amerykańskiego milionera Fred Snite, junior, który będąc ofiarą paraliżu dziecięcego oddał się w opiekę najsławniejszych lekarzy amerykańskich. Skonstruowali oni specjalne płuca, tj. odpowiedni aparat metalowy, w którym chory leży od czterech lat. Widocznie jednak stan jego zdrowia nie był jednak najgorszy, a aparat oddawał odpowiednie usługi, gdyż młody Fred Snite zakochał się po uszy w pewnej młodej Amerykance i wkrótce potem z nią się ożenił. Obecnie gruchnęła po całej prasie amerykańskiej niezwykle sensacyjna wiadomość, że człowiek o żelaznych płucach... został ojcem! Dla objaśnienia dodamy, że tzw. żelazne płuca są aparatem, który umożliwia normalne funkcjonowanie chorobą osłabionym płucom, normalnie nie mogącym sprostać wyznaczonemu zadaniu.







Oto dwa zdjęcia ukochanej Tanzlera van Cosel: po lewej za życia, po prawej po śmierci w stanie zmumifikowanym.

A tak wygląda bohater tej ponurej afery, którym zaopiekowała się policja amerykańska.

Każde uczucie doprowadzone do przesady staje się przykrym i w pewnym stopniu nienaturalnym. Tak przedstawia się sprawa niejakiego Karola Tanzlera van Cosel, w Stanach Zjednoczonych, który tak bardzo był przywiązany do swojej ukochanej, że gdy umarła siedem lat temu, postanowił przywołać ją do życia przy pomocy specjalnej kuracji rentgenowskiej oraz stosując specjalne zastrzyki parafinowe. Zdołał on zakonserwować trupa i przechowywał go w swoim pokoju sypialnym łudząc się, że ukochana nie umarła. Dopiero w październiku br. dowiedziała się o tych dziwnych praktykach policja amerykańska i zaaresztowała przesadnie zakochanego technika rentgenologicznego.



Wielkie zbiegowisko ludzkie przygląda się trupowi kochanki Tanzlera van Cosel przed wyniesieniem jej z jego domu.

Fot. Ass. Press







Na zdjęciu naszym widzimy pierwszą i trzecią generację pewnej rodziny, które obie oddają się z zamiłowaniem tak popularnemu sportowi tzw. wrotek. Zdawało by się, że wrotki, to wynalazek najnowszych czasów, a przynajmniej czasów sprzed wojny światowej, okazuje się jednak, że jest on znacznie starszy, gdyż już w roku 1790 wynalazł je pewien Holender Vanleden i od tego czasu zyskały sobie one popularność wśród dzieci, a jak nas poucza zdjęcie, także wśród ludzi starszych.

Fot. Atlantic Ass. Press

Wszelkiego rodzaju rekordy zwracają na siebie uwagę świata, chociażby były najbardziej niedorzeczne. Zwłaszcza Ameryka lubuje się w tego rodzaju ciekawostkach, starając się przewyższyć w tym względzie wszystkie inne kraje. Obecnie ustanowiły Stany Zjednoczone nowy rekord, tym razem w zakresie ilości dzieci. Oto pewien nauczyciel z Peterstown, West Virginia, dochował się ze swoją żoną aż piętnastu synów, z których najstarszy ma lat 23 a najmłodszy ledwo kilka tygodni. Ojciec tej licznej rodziny ma lat 49 a żona jego lat 40, była ona kiedyś uczenicą swego obecnego męża. Liczna ta rodzina przyjechała obecnie do Nowego Jorku, celem zwiedzenia wystawy światowej. Nie zazdrościmy jej wydatków podczas tego pobytu, mimo że i pod tym względem także, uzyskała ona zapewne palmę pierwszeństwa w całym świecie.

Po złoto korsarzy
z życia awanturnika



3 ciąg dalszy.

POWIEŚĆ MIECZYSŁAWA SZYMCZAKA

Gdy karetka ruszyła, Nowak ponownie poprosił posterunkowego o wyjaśnienie.

— Nieszczęśliwy wypadek. Wychodził z bramy i zderzył się z jakimś przechodniem tak nieszczęśliwie, że upadł na chodnik. Uderzył głową o płyty. Zdaje się, że już nie żyje...

— Żyje jeszcze — mruknął sanitariusz, pilnujący chorego, — ale nieprzytomny!

— Któż go tak pchnął?

— Mówiłem, że jakiś przechodzień. Zabrali go do komisariatu w celu spisania protokółu.

Nowaka z wujem nie łączyły nici miłości. Niemniej jednak wypadek ten, który najniespodziewaniej zaszedł niemal w jego oczach, wstrząsnął nim głęboko. Przecież jedna krew płynęła w jego i Brzozowskiego żyłach, byli ostatnimi członkami wymierającego rodu. Nawet gdyby nienawidził wuja, nie byłby zdolnym do przejścia nad jego nieszczęściem do porządku dziennego. A przecież nie nienawidził go i jeżeli nie kochał, to w każdym razie bardzo lubił. Lubił nawet jego dziwaczenie, które czasem w rzadkich chwilach ich wzajemnego spotkania ujawniało się i wskazywało na podeszły wiek ostatniego krewnego. Nic więc dziwnego, że z niepokojem wpatrywał się w twarz lekarza, chcąc z niej wyczytać wiadomość o stanie chorego. Lekarz bez ogródek powiedział, że nie rokuje żadnych nadziei. Pęknięcie potylicy. W tym wieku prawdopodobnie zakończy się śmiercią.

Nowak przygnębiony wyszedł z kliniki. Idąc automatycznie szeroką ulicą myślał o dziwnym wypadku, który bezwiednie spowodował. Gdyby bowiem nie namówił wuja do oglądania sklepu, nic podobnego byłoby się nie zdarzyło.

— Trudno! — mruknął w końcu filozoficznie.

ZAMEK BONARA.

Zamyślony nie spostrzegł, kiedy znalazł się wpobliżu domu wuja. Uświadomiwszy to sobie uważniej rozejrzał się i, o dziwo! o kilkanaście kroków przed sobą spostrzegł Ryśkę, wychodzącą z jakiejś księgarni. Zdjął kapelusz w głębokim ukłonie: nie zauważyła tego. Widocznie nie spostrzegła go, bo szybko, nim zdążył do niej podbiec, wsiadła do samochodu i zniknęła za zakrętem.

— Skąd się tu wzięła, przecież nie wysiadała z pociągu. Może przyjechała późniejszym! — myślał. — No i drugi raz ją spotykam dzisiaj, a nie mogę porozmawiać! Ciekawe, co tu robi!

Bez namysłu wszedł do sklepu, z którego przed chwilą wyszła jego ukochana dziewczyna, i ujrzał księgarza, ustawiającego na półce pod sufitem książkę. Na kontuarze, leżało ich jeszcze kilka. Ponieważ w sklepie nie było żadnego klienta, Nowak przypuszczał, że książki te Ryśce podane były do przejrzenia.

— Czego pan sobie życzy? — zapytał go księgarz, stojący jeszcze na drabince.

— Plan miasta — odparł bez namysłu zagadnięty i otworzył książkę, leżącą na wierzchu stosu: „Pamiętnik fizjograficzny". Następna: „Geografia ziem dawnej Polski" Sujkowski. Pod spodem rocznik „Przyrody" z 1904 roku.

— Czego ona tu szukała? — zaciekawił się.

Gdy księgarz pakował całkiem niepotrzebny mu plan miasta, zagadnął go:

— Widzę, że ostatniego klienta trudno było panu zadowolić!

— Nigdzie tego nie znajdzie! Była tu jakaś pani i chciała szkic monograficzny o Ogrodzieńcu.

— Ach, o Ogrodzieńcu!

— Nie dostała go, bo o ile mi wiadomo, nikt go nie opracował. Znajdzie się coś niecoś w różnych dziełach na ten temat, ale dzieła specjalnie to zagadnienie omawiającego, zdaje się, nie ma.

Księgarz był widocznie podenerwowany wymaganiami ostatniej klientki i chcąc sobie ulżyć mówił dalej:

— Ot tu, w roczniku „Przyrody" znajduje się ładny opis zamku podany przez Janowskiego. Pokazałem go! Zamało o ruinach. Ja tego nie pisałem, więc nie można mieć do mnie za to pretensji.

— Niech go pan pokaże!

— Służę!

Nowak oparł się o ladę sklepową i zaczął czytać:

„Najwyższy szczyt Jury Krakowskiej nieopodal Ogrodzieńca zajął swym ogromem zamek. Góra ta, leżąca po prawej stronie szosy, przedstawia się jako lekko odosobnione wzgórze. Zbocza jej pokrywa murawa, a na szczycie zalegały olbrzymie zwały skał, zdumiewające swym ogromem i dziwacznością kształtów. Przedziwnym kunsztem architektury na szczycie tych skał wzniesione zostały potężne mury i baszty zamczyska.



„Kto wybudował zamek — nie wiadomo. Ostatniej jego przebudowy dokonał Jan Seweryn Bonar, podskarbi koronny i żupnik, jeden z najwybitniejszych ludzi epoki Zygmuntowskiej. Należał on do patrycjatu mieszczańskiego Krakowa, tego patrycjatu, który dzięki rozgałęzionym stosunkom z Zachodem i południem Europy stał się łożyskiem, przez które płynęły wyniki bujnej kultury Odrodzenia ku północnym puszczom.

„Stojący na czele patrycjatu krakowskiego, a przez to i na czele bogatego mieszczaństwa stolicy i kraju, Bonar przez swą wykwintną kulturę i pozycję społeczną dosięgnął wysokich szczebli w ówczesnej drabinie hierarchicznej. Jako senator zasiadał w radzie panów koronnych, a na zamku krakowskim bywał codziennym gościem. Koligacje łączyły go z całą magnaterią królestwa. Człowiek tej miary nie mógł zejść z widowni nie pozostawiwszy cennych zabytków sztuki, którą kwitnął kraj. Z licznych pamiątek po Bonarach zamek ogrodzieniecki zajmuje naczelne miejsce.

„Zamek dziś jest zupełnie zniszczony, mimo to już ze znacznej odległości czyni imponujące wrażenie i to wielkością swoją i malowniczością położenia.

„Imponująca ta masa murów, zdobna do niedawna jeszcze w kute ciosowe rzeźby, zachwyca proporcją form i śmiałymi pomysłami architektonicznymi, gdzie potężne sklepienia przerzucając się od skały do skały, podtrzymują cały ciężar ścian i baszt. Od strony dziedzińca zamek, połamany w fantastyczne linie, stosujące się do terenu wzgórza, wygląda jeszcze oryginalniej, a stara ciosowa brama o szlachetnym, renesansowym łuku sklepienia wiedzie do wnętrza. Nad bramą umieszczona tablica ciosowa opiewa chwałę pana podskarbiego. Można było na niej wyczytać napis łaciński, złoconymi literami wyryty, odnoszący się do daty wybudowania, a właściwie przebudowania zamku.

„W baszcie nad bramą wjazdową urządzona była kaplica. Do dziś widać tam szczątki konsol, które podpierały żebra sklepień. Na ścianach pozostało trochę malowideł al fresco. Zresztą całe ściany porysowane są podpisami zwiedzających, szerzących tu swój barbarzyński popęd do uwiecznienia się za pomocą scyzoryków, szydeł, ołówków, krzemieni, omal nie paznokci i zębów..."

— Hm, rzeczywiście trochę za mało — mruknął Nowak do księgarza. Nie zrozumiał jego odpowiedzi i bez zapłacenia za plan chciał wyjść, bowiem przeczytanie tego urywku o zamku w Ogrodzieńcu zaabsorbowało całkowicie jego władze duchowe i wzbudziło różne refleksje i nastrój podobny do tego, jaki ogarnia człowieka w słoneczny, jesienny dzień, gdy zespolony w jedną całość z otaczającą go przyrodą, podziwia ognie ciepłych barw, roztoczonych przez listowie obumierających drzew, gdy cichy smętek konającego w majestacie życia poi duszę tęsknotą za tym, co ginie w rozsłonecznionej ciszy.

Ocknął się na ulicy, która zaczynała płonąć czerwienią neonów i jarzyć bladym światłem lamp elektrycznych, zmieszanym z żółtymi snopami tramwajowych reflektorów. Ocknął i zrozumiał, że nie wie, gdzie idzie. Stanął. Popychany przez różnorodny tłum spacerowiczów, chwilę myślał, co z sobą począć! Gdy na widok stosu szynek i piramidy parówek odezwał się w nim głód, postanowił wstąpić do jakiejś taniej mleczarni i zjeść kolację. W pobliżu jednak były tylko same pierwszorzędne lokale, dlatego wolnym krokiem powlókł się w boczną uliczkę, mając stale przed oczyma potężne mury zamczyska, połamane w fantastyczne linie i baszty, niknące w niebiesko-szarej mgle.

Mleczarnię znalazł na rogu ulicy. Była prawie pusta, dlatego też natychmiast zajęła się nim kelnerka i podała zamówione danie. Jadł bez pośpiechu, jak człowiek, który nie ma już nic w życiu do zrobienia. Myśl jego pracowała jednak gwałtownie w celu ustalenia linii, łączącej Ryśkę z zamkiem w Ogrodzieńcu. Czyżby tak szybko zainteresowała się architekturą renesansu? Dlaczego specjalnie tym zamkiem, będącym jednocześnie obiektem jego zainteresowań? I po co tu wogóle przyjechała?

A może, może w tej samej sprawie, co i on?

Nie, to nie możliwe! Miałażby kontakt ze złoczyńcami, którzy onegdajszej nocy napadli na sklep jego wuja Brzozowskiego?

Nie miał żadnych danych aby przypuszczać, iż

tak było. Dlatego też porzucił ten temat rozmyślań i otrząsnąwszy się ostatecznie z wrażenia wywołanego odczytaniem urywku Janowskiego przemyśliwać zaczął ponownie swoje szanse zdobycia skarbów Bonara. Krótka charakterystyka tego magnata, podana przez Janowskiego, dowodziła niezbicie, że był to przezorny człowiek. Zaczem dziwne się wydawało Nowakowi ukrycie przez Bonara planów skarbów w biurku. Co prawda sekretna skrytka trudna była do odnalezienia niewtajemniczonemu, nie mniej jednak biurko, bardzo łatwo mogło ulec zniszczeniu, a z nim razem i plan, bez którego nie można było nawet marzyć o odnalezieniu skarbu. Rozmyślając w ten mniej więcej sposób, doszedł do przekonania, że pergamin, odnaleziony przez wuja, planem skarbu z wyspy Pogo nie był. Czemże więc był? Napewno nie mistyfikacją, Bonar za poważny był na to! A może po prostu planem miejsca, w którym ukryto plan skarbu?

Myśl ta oszołomiła Nowaka. Gdyby tak rzeczywiście było, zrobiłby wielki krok naprzód na drodze, prowadzącej do fortuny Bonara. Mimo że byłby to wielki krok, byłby on krokiem żółwia w drodze na księżyc. Zrozumienie tego faktu nie wpłynęło jednak na postanowienie kierownika agencji, który powziął myśl, aby sprawdzić wnioski, wysnute ze swego rozumowania. Mógł je sprawdzić jedynie w okolicach zamku ogrodzienieckiego, bo gdzież indziej znajdowałaby się skrytka Bonara?

Poprosił kelnerkę o rozkład jazdy. Okazało się, że pociąg w stronę Zawiercia odchodzi przed północą. Nie pozostawało mu więc nic innego, jak jechać natychmiast i jutro rano rozpocząć poszukiwania. Ma zaledwie trzy dni urlopu...

Pośpiesznie zapłacił za kolację i, wyszedłszy, skierował swe kroki na dworzec kolejowy. Żałował, że nie mógł się zobaczyć przed odjazdem z wujem, ale o tej porze nie wpuszczonoby go do kliniki. Zresztą powróci tu jeszcze, a jutro dowie się telegraficznie o zdrowie Brzozowskiego.

Jednostajny rytm, płynącego w przestrzeń pociągu, ukołysał Nowaka do snu. Przyszły odkrywca skarbów Bonara oparł się o ścianę wagonu i zasnął. Obudził się, gdy pasażer trzasnął mocniej drzwiami przedziału. Wyjrzał przez okno. Pociąg stał na stacji Ząbkowice.

Na dworze szarzało. Wschodnie niebo oblał karminowy rumieniec. Za chwilę ukazać się na nim miało słońce. Wiał lekki, orzeźwiający wietrzyk zachodni. W ogrodzie, okalającym stację, zaczynały kwilić ptaki. Budził się ze snu majowy dzień.

Pociąg ruszył.

Nowak stanął przy otwartym oknie wagonu i poddał swą twarz pieszczocie wiatru, który dobroczynnie chłodził zaczerwienione od niewyspania oczy, pobudzał krew do szybszego obiegu, poprawiał ogólne samopoczucie, a z nim razem wiarę we własne siły. Dojeżdżając do Zawiercia Nowak czuł, że żądza czynu rozpiera mu piersi. Pewny zwycięstwa wysiadł z pociągu.

Na stacji było pusto. Nikt nie wsiadał, nikt oprócz niego nie wysiadł, co widząc, właściciele dorożek zwolna rozjeżdżać się poczęli, na przerwany przybyciem pociągu, spoczynek. Jeden został i spoglądał niepewnie na Nowaka. Widząc, że ten nie ma ochoty wołać go, podszedł i zapytał:

— Jedziemy?

— Do Ogrodzieńca! Za ile?

Furman poskrobał się w głowę i po dłuższym namyśle rzekł:

— Dwanaście złotych!...

Z miny jego widać było, że z podanej cyfry gotów jest przynajmniej 50% opuścić, ale Nowak nie miał ochoty targować się. Odparł:

— Nic z tego nie będzie!

I powrócił na dworzec, aby przyjrzeć się dokładnie mapie okolicy.

— Osiem kilometrów — monologował w myśli. — Ranek cudny. Za półtorej godziny zajdę i zaoszczędzę parę złotych, co nie jest dla mnie bez znaczenia.

W kilkanaście minut później znalazł się za miastem na szosie prowadzącej ku Ogrodzieńcowi. Party myślą rozwiązania rebusu, zostawionego przez Bonara, szedł bez zmęczenia i nawet nie spostrzegł, gdy minął dwa fabryczne osiedla i znalazł się w Ogrodzieńcu, łączącym się niskimi domkami robotniczymi z Zawierciem.

Osada spała jeszcze. Przeszedł ją więc bez zatrzymywania się i w blaskach wielkiego, czerwonego jeszcze słońca ujrzał nagle na skalistym wzgórzu, otoczonym wieńcem chłopskich domków i stodółek, potężną, magnacką budowlę, pogryzioną przez działa szwedzkie i ząb wiekowego czasu. Stała samotna, grająca jasnością i cieniem w niebieskawej mgle poranku, która otaczała zwiewnym płaszczem jej stopy z ciosowego kamienia, wsparte o bielejącą kością nagie wapienne zwały skał. Wyrastały one pionowymi ścianami z kopuły wzgórza, pokrytego soczystą zielenią młodej trawy i zdały się, zasypane światłem i cieniami, jakimiś gigantycznymi, przedpotopowymi potworami, które zamarły w bezruchu w oczekiwaniu chwili, gdy ożywi je potężny oddech burzy i gdy będą mogły wstrząsnąć swymi ciałami i zrzucić z zębatych grzbietów mury zamczyska. Ale chwila nie nadeszła jeszcze. Stały więc pokorne i zazdrośnie strzegły gniazda magnatów, z którego pozostały tylko ruiny. Jeszcze jedna baszta tylko wystrzelała w górę swym smukłym ciałem, jeszcze łuki przyporowe podtrzymywały kilkułokciowej grubości ściany, które, choć nie dźwigały już sklepień, nadwątlone otworami okien chętnie korzystały z oparcia.

Jakiś majestat bił od tych murów i powaga. Jeszcze teraz, choć tyle wieków upłynęło, godnie reprezentowały imię swego właściciela i świadczyły o jego potędze tak materialnej, jak duchowej.

Nowak na ich widok nie mógł powstrzymać okrzyku zachwytu. Przypomniał sobie opis Janowskiego, przeczytany wczoraj wieczorem i doszedł do przekonania, że żeby mieć o zamku wyobrażenie, należy widzieć go własnymi oczyma, podumać w cieniu chwil parę, przenieść się myślą w dawne czasy, kiedy rozbrzmiewał szczękiem oręża, pieśnią miłosną trubadara i jękiem więźnia...

On to uczynił. Wspiął się na wzgórze i zabłądził w labirynt komnat, pełnych złomów skalnych, zabłądził do baszty i tu stanąwszy przy wąskiej szparze strzelnicy puścił wodze myśli, zasłuchany w cichy jęk wiatru, rozdzierającego się o zwały kamienia.

STALAKTYTOWA GROTA.

Ostry świst syreny fabrycznej, wzywający robotników do pracy, przerwał zadumę Nowaka. Przypomniał sobie, że nie przyszedł tu, aby oddawać się marzeniom. Wdrapał się więc na najwyższy punkt wzgórza i rozejrzał po okolicy, porównując ją jednocześnie ze szkicem, podyktowanym mu przez Brzozowskiego. Była to typowa okolica Jury Krakowskiej, zasiana bryłami wapienia skalistego, sterczącego białymi ścianami wśród łach piasku i ciemnego szmaragdu lasów sosnowych. Na południu horyzont zamykał łukowaty pas wzniesień, porośniętych lasem. Na północy wzrok biegł bez przeszkód hen! w dal, aż gdzieś kilkanaście kilometrów od zamku ginął wśród poszarpanego widnokręgu we mgle poranku. Przy kształtowaniu tej części okolicy, przyroda więcej kapryśnie sobie postępowała i porozrzucała bezładnie nagie cielska zimnych skał, które to tu to tam wyrastały najniespodziewaniej z płaszczyzny pól uprawnych i morza lasów. Tuż za szosą na północ od zamku sterczał blok skalny ze sześćdziesiąt metrów nad poziom płachty piasku. Za tą górą mniej więcej w odległości równej odległości pierwszego wzniesienia od zamku znajdowało się drugie niższe wzgórze.

— Czyżby ta część terenu przedstawiona była na szkicu Bonara? — zapytał sam siebie Nowak. — Zatem rozwiązania rebusu szukać należy na pierwszym wzgórzu?!

Zbiegł ze swego punktu obserwacyjnego i postanowił udać się na ostatnie wzniesienie, aby stamtąd obejrzeć teren, bowiem teraz pewnym był, że budowlą, przedstawioną na perspektywicznym szkicu był zamek.

W wiosce, otaczającej wzgórze z ruinami, zaczynał robić się ruch. Raz po raz rozlegał się chrapliwy dyszkant bab, które udzielały ostatnich wskazówek, popartych groźnym wymachiwaniem ręki, swym pociechom, pędzącym bydło na pastwisko. Zaczepił jednego z tych pastuchów, może czternastoletniego wyrostka, patrzącego wilkiem, i zapytał:

— Wojtek, czemu nie dali ci iść do szkoły?

Chłopak popatrzył podejrzliwie na pytającego. Ponieważ wydał mu się jednym z tych, którzy przyjeżdżają oglądać zamek, mruknął:

— Butów ni mom!

— A byłeś kiedy na tej górze?

— Ho, ho!...

— Jak się ta góra nazywa?

— Bierów!

— A ta druga?

— Lisio!

— A są tam króliki?

— Jesce ile!

— A lisy?

Ponieważ po takim dialogu pytający sięgał zazwyczaj do kieszeni i dawał dwudziestogroszówkę, czego ten nie czynił, pastuch stracił ochotę do dalszej konwersacji i, popędzając bydło, mruknął:

— Niech se pon obejrzom...

Wesoły nastrój Nowaka nie został popsuty odpowiedzią chłopca. Kiwnął mu ręką na pożegnanie i szybkim krokiem przemierzył odległość do góry Lisiej. Znalazłszy się na niej porównał szczegółowo szkic z terenem. Nie ulegało wątpliwości, że ten a nie inny teren rysował Bonar na swym pergaminie.

— Zatem należy się dobrze przyjrzeć górze Birowa — zdecydował w duchu i poszedł ku niej. Sterczała samotna, otoczona sypkim morzem piasku, pomarszczonego w zastygłe fale, pionowymi ścianami gdzieniegdzie porosłymi brudno zielonym mchem. Obszedł ją dookoła, szukając wygodnego wejścia. Było ich kilka.

Na szczycie nie spostrzegł nic ciekawego, natomiast obchodząc ją, zauważył trzy wejścia do pieczar: dwa od południa, jedno od zachodu.

— A więc dlatego ją Bonar wybrał sobie za kasę! — pomyślał Nowak i postanowił przejrzeć wszystkie pieczary. Ponieważ nie posiadał lampy, wrócił do Ogrodzieńca, aby się w nią zaopatrzyć. Była godzina ósma i wypadało zjeść śniadanie, no i zapytać o zdrowie wuja.

W chwili, gdy w urzędzie pocztowym miał nadawać telegram, nadeszła ze stacji poczta, co zajęło urzędnikowi chwilę czasu. Ażeby nie stać bezczynnie, kupił gazetę i zaczął ją przeglądać. Na drugiej stronie dziennika w rubryce „Zdarzenia i wypadki" znalazł petitem podaną wzmiankę, która wstrząsnęła nim do głębi:

„Antykwariusz A. Brzozowski, który wczoraj w godzinach popołudniowych uległ wypadkowi, mianowicie przy wychodzeniu z bramy domu przewrócony został przez nieuważnego przechodnia, umarł o godzinie 23, nie odzyskawszy przytomności".

— Już nie potrzebuję nadawać telegramu! — pomyślał i wolnym krokiem wyszedł z urzędu.

Nieopodal znajdował się kościół. Nowak wszedł do jego mrocznej głębi i pograżył się w modlitwie za duszę ostatniego krewnego.

Byłby trwał jeszcze długo w rozmyślaniach, gdyby nie kościelny, który w ordynarny sposób przypomniał mu, że musi zamykać kościół. Nowak wyszedł ze świątyni i automatycznie skierował swe kroki na górę Birowa.

Jakby nie wierząc oczom, jeszcze raz przejrzał notatkę. Wtedy to właśnie padł jego wzrok na wielki tytuł: „Wyprawa po skarby Bonara".

— Co u diabła, — pomyślał — już się reporterzy dowiedzieli o mnie?

Nie o nim jednak pisali, a o jakiejś bliżej nieokreślonej grupie osób, która dzisiejszej nocy odjechała w niewiadomym kierunku w celu odszukania skarbu.

— Zabrali się do roboty. Ciekawe kto je znajdzie, oni czy ja?

Znalazłszy się na górze Birowa, Nowak rozpoczął poszukiwania. Obejrzał najpierw pieczary południowe. Wąskie gardziele wejść nie pozwalały mu się dalej niż pięć metrów w nie zagłębić.

— Chyba i Bonar tędy nie przeszedł, skoro ja przejść nie mogę! — pomyślał i poszedł do zachodniej pieczary. Obejrzał ją dokładnie, ale nic ciekawego nie zauważył. Naraz wzrok jego skierował się pod strop, pokryty małymi stalaktytami. W pewnym miejscu znajdował się otwór, czerniejący głęboką ciemnością. Postanowił go obejrzeć. Po chropowatej ścianie, załamującej się w tym miejscu pod kątem prostym, wdrapał się na jego wysokość i, czołgając wsunął w niego. Owionęło go zimne powietrze.

— Przeciąg?

Otwór był wąski i niski i Nowak musiał się czołgać kilka metrów bądź na brzuchu, bądź na kolanach nim nareszcie mógł się wyprostować. Wąska gardziel korytarza prowadziła spadzisto w dół. W pewnym miejscu rozszerzała się i rozdwajała na dwa korytarze. Nowak zatrzymał się. Do uszu jego wśród głębokiej ciszy dobiegł cichy szum.

— Którą odnogą iść?

Bez większego namysłu postanowił iść lewą. Była tak wysoka, że mógł posuwać się prawie wyprostowany, ale za to w niektórych miejscach była tak wąska, iż z trudem przeciskał się bokiem. Całe ściany pokryte były kroplami rosy, kamienie pod nogami — mokre. Z największą uwagą stawiał na nich stopy i szedł wolno krok za krokiem badając podłoże o strop. Szedł kilkanaście minut tym krętym, przez wodę wygryzionym korytarzem, aż raptem stanął, bowiem korytarz urwał gwałtownie i tworzył głęboką studnię.

— A więc trzeba wracać?

Ażeby nie mieć sobie nic do zarzucenia rozpoczął systematyczne oględziny korytarza i studni. Była ona głęboka prawie, jak ocenił na oko, na osiem metrów. Dno jej zawalone było czarnymi, mokrymi okruchami wapienia. Skierował snop światła na strop i omal nie krzyknął ze zdziwienia, gdyż tuż nad studnią, gdzie znajdowało się niewielkie wgłębienie, zauważył gruby, mocny, zupełnie jednak zardzewiały, hak żelazny.

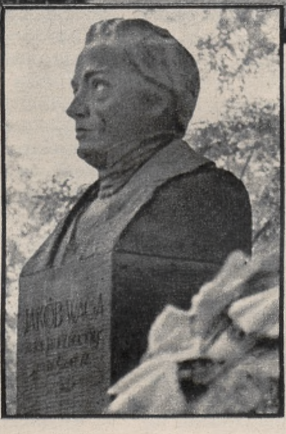
Łatwo domyślił się jego przeznaczenia: trzeba się po linie spuszczać do studni.

Dalszy ciąg nastąpi

PIĘKNA WARSZAWA: OGRÓD BOTANICZNY



Oto fragment ogrodu botanicznego z dziwacznie rosnącymi drzewami. Na pierwszym planie japońska wierzba płacząca.



Jakub Waga, założyciel ogrodu botanicznego i właściwy jego organizator uwieczniony jest w pomniku.

Nie ma chyba człowieka z młodszej generacji, który by nie przypomniał sobie pięknego przeboju sprzed kilkunastu lat p. t. „Gdy w ogrodzie botanicznym zakwitną bzy". Przebój ten był pełen poezji, niezwykle romantyczny i cieszył się ogromnym powodzeniem. W ten sposób poznało wielu ludzi warszawski ogród botaniczny, nie będąc nawet w Warszawie.

Każde wielkie miasto posiada ogrody botaniczne, w których przechowuje i pielęgnuje się piękne egzotyczne drzewa, rośliny i krzewy wszelkiego rodzaju. Ile jednak czasu i ile wysiłków potrzeba, aby stworzyć taki ogród! Najlepsi botanicy i specjaliści muszą w nim współpracować, ale pozatym potrzeba pewnego dozorowania i opiekowania się „lokatorami" ogrodu.

Założycielem ogrodu botanicznego w Warszawie jest zasłużony botanik Jakób Waga, który nieco później od twórcy ogrodu botanicznego w Wilnie ks. Bonifacego Jundziłła, położył podwaliny tej placówki naukowej ówczesnej stolicy Królestwa Kongresowego. Był on autorem wielu dzieł specjalnych i odnosił się do roślin jak dobry ojciec do swoich dzieci, nic też dziwnego że powoli ogród stawał się coraz większą atrakcją stolicy. Oczywiście, że po Jakubie Wadze współpracowało w powiększeniu ogrodu przy Alejach Ujazdowskich wielu innych uczonych aż do ostatnich czasów tak, że ogród coraz to wzrastał i bogacił się.

Jakże miło przechadzać się po ścieżkach ogrodu botanicznego, aby podziwiać niezliczone krzewy i rośliny, które tutaj są „eksponatami" tego botanicznego muzeum na świeżym powietrzu! Nawet człowiek, który nie zajmuje się zawodowo botaniką znajdzie tutaj bodziec do bliższego zainteresowania się tym cudnym światem roślin. W ogrodzie panuje idealny spokój, stanowiąc przeciwieństwo miasta, które szumi i pieni się życiem, gwarem i ruchem.

Fot. Bilażewski









NASZ KONKURS FOTOGRAFICZNY

UWAGA! FOTOAMATORZY!

Na podstawie wielkiej ilości nadesłanych zdjęć może „Ilustrowany Kurjer Polski" stwierdzić z radością, że konkurs fotograficzny wywołał wielkie zainteresowanie. Obrazków dużo, ale tak mało nadających się do zamieszczenia! Dlatego chcielibyśmy nauczyć Was, Fotoamatorzy, patrzeć fotograficznie, tzn. nauczyć widzieć to, co naprawdę piękne, naturalne, niewymuszone i — co już trochę trudniejsze — charakterystyczne.

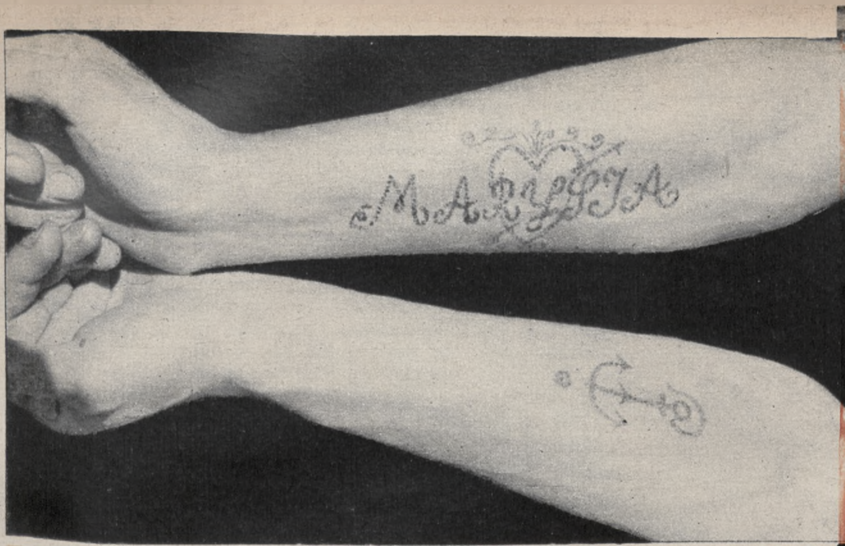
Tylko proszę się nie zniechęcać! Raczej do dzieła! Za najlepsze zdjęcia płacimy jak dotąd 16—20 zł. Prosimy w dalszym ciągu o dokładne określanie obrazków, aparatu, czasu naświetlenia i pory, o której zdjęcie zostało dokonane.



Kto ma dwie tak ładne panienki w łodzi, ten nie może już narzekać na brak tematu. Zdjęcie jest nieszablonowe. Fot. Janusz Sas-Kędzierski, Lublin



Maryjka — miła i niewymuszona! Taka jak jest naprawdę. I to zdjęcie odbiega od zdjęć pozowanych, nienaturalnych. Fot. Iiland M. — Krosno



CZŁOWIEK »ILUSTROWANY«

Wśród wielu dziwactw ludzkich, łączących się zresztą nieraz ze starymi zwyczajami i przesądami, na pierwszym bodaj miejscu należy postawić zwyczaj tatuowania się, który, zwłaszcza w krajach egzotycznych, a przede wszystkim na wyspach Polinezji i Melanezji, jest do dzisiaj wysoce szanowany.

U nas w Europie i w Ameryce należy tatuaż do niesmacznych oryginalnych wybryków, którym poddają się najczęściej jednostki goniące za efektem lub też chcące posiadać „trwałą" pamiątkę swoich podróży po świecie. Dużo bowiem marynarzy i robotników portowych dało wykłuć sobie na ramionach lub też na piersiach różne symbole przyjaźni czy miłości, czasem jakąś efektowną dewizę, czy hasło, nieraz też spotyka się niebieskie kotwice, serca, gołąbki, czapki frygijskie itp. rzeczy „wypisane" na muskularnych ciałach tych ludzi.

Na wyspach Oceanu Atlantyckiego istnieje zwyczaj tatuowania od niepamiętnych czasów. Nie jest to zresztą takie dziwne u ludzi, u których tatuaż jest jedynym strojem. Niech im to będzie na zdrowie, o ile nikomu tym nie szkodzą i nie mają większych od życia wymagań.



Pan i pani Conway, jedyna para małżeńska na świecie, która cała pokryta jest tatuażami. Naturalnie w Ameryce.



Na całym świecie są ludzie z tatuażami. Na plecach jakiegoś chińskiego kulisa wytatuowane jest całe opowiadanie.



Głowy, figury, sceny ze wszystkich dziedzin życia — oto tematy do tatuażów.

CO TO JEST?

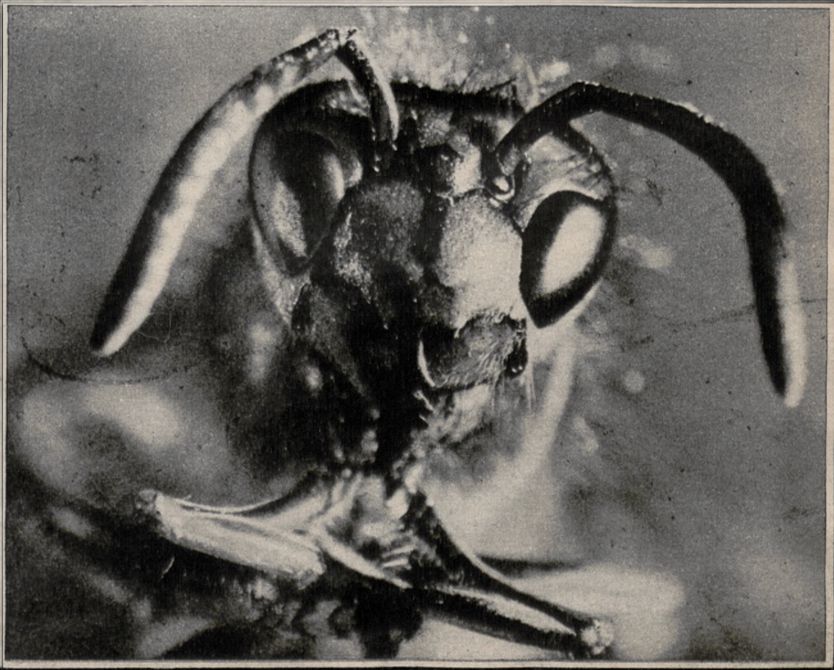
Do konkursu I. K. P. za 600 zł

Tak — co to jest? To stworzenie tam obok, które patrzy na nas wielkimi oczyma i dziwnymi czułkami chciałoby nas chwycić, które tak wygląda, jakby było z innego świata. Jest to tylko jeden z siedmiu stworzonek, które Ty, Czytelniku, naprawdę znasz, widziałeś już i napewno niejedno z nich chwytałeś, a które tylko tak obco i dziwnie wyglądają dlatego, że tak je powiększyliśmy. Tych siedem stworzeń należy odgadnąć w naszym wielkim konkursie, który rozpoczęliśmy w numerze 20. Ilustrowanego Kurjera Polskiego. Kto dobrze odgadnie nazwy tych zwierząt, może zdobyć pierwszą nagrodę Ilustr. Kur. Pol. w wysokości 250 złotych. Każdy, kto w szkole dobrze na lekcjach uważał, jest w stanie przy pewnym wysiłku podać nazwy poszczególnych zwierząt.

Warunki konkursu zostały dokłądnie podane w numerze 20. Il. Kur. Pol. Wszyscy Czytelnicy, którzy chcieliby jeszcze nabyć ten numer, mogą otrzymać go załączając porto i 30 gr. za numer. Adres Wydawnictwa jest następujący: Ilustrowany Kurjer Polski", Oddział: Agencja — Krakau, Wielopole 1.

Wszystkie rozwiązania muszą wpłynąć do dnia 15. listopada godz. 18.00 wieczór.

REDAKCJA.





„CIERPIEĆ W MILCZENIU, ŻYĆ W POŚWIĘCENIU!"

Potrzeba jest matką wynalazków — głosi polskie przysłowie. Jak prawdziwe jest to przysłowie mogą chyba najlepiej powiedzieć dzisiejsze kobiety, zwłaszcza panie domu, matki, choć i kobiety samotne także to mogą potwierdzić. Muszą one wysilić cały rozum i myśleć nad tym, żeby pensja męża starczyła na jako takie utrzymanie całej rodziny. Jest to dzisiaj rzeczą nielada, przy tylu trudnościach aprowizacyjnych, przy drożyźnie i przy stosunkowo niskiej stopie uposażeniowej. Zadanie kobiety-matki i żony jest więc dzisiaj wyjątkowo trudne do spełnienia. A jednak, kiedy się widzi, jak zabiegają one o to, by związać koniec z końcem, by dzieci nie były głodne a mąż, jako ten, który na to utrzymanie ciężko nieraz pracuje, miał też spokój po pracy, trzeba uchylić czoła przed nimi, przed ich zaradnością, przed całą tą męką, której nieraz zaznają, a o której nie mówią, którą się tylko widzi w oczach zatroskanych i zciemnionych bólem, gdy cała ich miłość nie znajduje rady na tak liczne dzisiaj braki.

Praca w gospodarstwie domowym była zawsze dla tych, którzy nic z nią wspólnego nie mieli, niczym, była niedoceniana, właśnie dlatego, że ciągle się ona powtarza. I może dlatego także, że nie przynosi niby żadnych pieniężnych zysków. Ale ile tej pracy jest w domu i jaka ona niewdzięczna poznaje się dopiero wtedy, gdy matka zachoruje i dzieci i mąż są skazani na siebie samych. Wtedy dopiero poznaje się, jak dobrze jest mieć ten mózg i serce w domu, które o wszystkim za nas pomyśli, o wszystko dba, o wszystko się stara. Dlatego nie dosyć dzisiaj słów uznania dla matki, dziś szczególnie, gdy warunki są tak wyjątkowo ciężkie i niewygodne. Chyba jedynie instynkt macierzyński daje jej tę siłę niespożytą i wytrwałość w tych dniach niełatwych.

*

JAK PRASOWAĆ?





Prasowanie jest sztuką, której trzeba się dopiero uczyć. Nie wystarczy rozgrzać żelazko i przeciągać nim po materiale, ewentualnie uważać na to, by nie przypalić lub nie pognieść więcej niż było przed prasowaniem. Trzeba pamiętać przede wszystkim, że prawie każda sztuka, którą prasujemy jest z innego materiału. Materiały wełniane na przykład prasuje się prawie zawsze na sucho, a jeżeli zwilżamy je, to tylko bardzo lekko. Prasuje się je zawsze z lewej strony gorącym żelazkiem. Zgięcia można zaprasowywać przez wilgotną szmatkę, nie należy jednak żelazka zbyt mocno przyciskać do materiału, gdyż odbije się ono na nim. Jedwabie i sztuczne jedwabie, które są specjalnie wrażliwe, prasuje się — jak o tym już wspominaliśmy w jednym z naszych poprzednich numerów — na sucho, żelazkiem nie zbyt gorącym. Ważną rzeczą jest, aby prasować zawsze w kierunku biegu nitki. Jeżeli więc nić materiału idzie ukośnie, trzeba żelazko przesuwać ukośnie. Najtrudniejszym jest prasowanie koszul męskich. Przy prasowaniu tychże trzeba pamiętać przede wszystkim o tym, że

I. najpierw prasuje się wąski pasek przy szyji i karczek,

II. potem mankiety. Przy zaokrąglaniu mankietów powinna jedna dziurka pokrywać się z drugą.

Mamy nadzieję, że krótkie wskazówki nasze wystarczą naszym paniom i że nie będą one odtąd potrzebowały dawać koszul swych mężów do prasowalni, lecz powoli same z przyjemnością pracę tę wykonają. Oszczędność na tym wielka!



„LUSTRA" NA SPÓDNICACH I SPODNIACH



Jest to plaga wszystkich tych, którzy pracują w biurach i z racji swej pracy skazani są na ciągłe siedzenie. Po pewnym czasie nawet nowa suknia lub ubranie ma świecące miejsca, które bardzo brzydko wyglądają. Jest wiele sposobów usunięcia tych luster. Do najbardziej znanych należy wyszczotkowanie wiórkami panamskimi lub jak tutaj się mówi „kwilajem". Jeżeli chodzi o szybkość, jeżeli suknia lub ubranie potrzebne jest w tej chwili, wystarczy przeprasować suknię przez mokrą szmatkę. Prasować trzeba na gorąco i przyciskać żelazko równomiernie. Nie można naciskać zbyt mocno. Zostawić szmatkę tak długo, aż przestanie parować. Tak odprasowane spodnie czy sukienkę można włożyć dopiero, gdy całkiem wyschła. Najlepszym sposobem jest wywiabianie luster zapomocą salmiaku. 2 dkg soli kuchennej rozpuszcza się w 6 dkg gorącej wody i dodaje do tego 2 dkg salmiaku. Tym roztworem dobrze szczotkować ubranie aż połysk wyjdzie.

*

PRZYPOMINAMY TYLKO...



I. Wełniane rzeczy nie pierze się w gorącej wodzie, gdyż się kurczą i tracą kolor.

II. Nie wykręca się ich z wody, gdyż nić się łatwo rwie.

III. Nie wiesza się, lecz suszy się na leżąco, gdyż tracą formę.

IV. Płócze się w wodzie z mydłem lub octem.

*

DYNIA FASZEROWANA

Przeciąć wzdłuż podłużną, odpowiednio do ilości osób dużą dynię, wyskrobać starannie pestki i wszystkie miękkie części, obrać z łupy, natrzeć dobrze solą, polać gorącym octem lub skropić cytryną i zostawić na kilka godzin. Przygotować następujący farsz: 25 dkg—35 dkg mięsa skręcić przez maszynkę, dodać 2—3 namoczone bułki lub odpowiednią ilość chleba, posiekanej natki z włoszczyzny i odrobinę mleka. Potem wypełnić tym farszem dynię, obłożyć od strony farszu plasterkami, odkrojonymi z drugiej połowy i wszystko obwiązać mocno sznurkiem. Przez jakiś czas piec na kuchni w tłuszczu i słoninie, potem dać do rury, dodawszy uprzednio do sosu kilka pokrojonych pomidorów. Dynię trzeba od czasu do czasu polewać sosem.

*

JAK CEROWAĆ WEŁNIANE RZECZY?







I. Aby wzmocnić miejsca przetarte i zapobiec dalszemu przecieraniu a wreszcie i podarciu dobrze jest pocerować je. Cerować należy w tym kierunku, w jakim idzie nić. Trzeba ująć materiał nieco dalej niż to wskazuje przetarcie, i nie ściągać nitki, aby nie urywała materiału. Aby cera wypadła ładnie i była niewidoczna, można użyć do cerowania tamborka, lub ramy do haftowania. Naturalnie ważne jest, aby nić dobrana była do koloru materiału.

II. Przy bardzo delikatnych i ładnych materiałach, na których ładności specjalnie nam zależy, ceruje się dopiero po podłożeniu pod spód kawałka jedwabiu. Jedwab należy niewidocznie przymocować na kraju, tak, by z prawej strony nie było śladu. Sama cera musi być wykonana także bardzo ostrożnie, jeżeli chcemy, by była niewidczna. Przy takich robotach zawsze dobrze jest pracować powoli i tylko przy świetle dziennym. Po pocerowaniu należy cerę naturalnie z lewej strony zaprasować.

III. Jeżeli w materiale jest już dziura, można ją załatać wcerowując taki sam kawałek materiału. Wiemy, że są specjalni krawcy, którzy te rzeczy wykonują wprost artystycznie, ale i my możemy to zrobić równie dobrze. Potrzeba do tego przede wszystkim dobrej woli i cierpliwości. Uszkodzone miejsce wycinamy w kształcie prostokąta i podłożywszy pod spód kawałek jedwabiu, który ma podtrzymać materiał, wkładamy w dziurę odpowiedni kawałek takiego samego materiału. Należy uważać, by nitki łatki zgadzały się co do kierunku z nitkami materiału. Potem delikatnie przycerowujemy łatkę do materiału. Po zaprasowaniu z lewej strony naprawa nie będzie prawie wcale widoczna.

*

ZMĘCZENIE OCZU

Osoby pracujące w biurze i w takich zawodach, które wymagają dużego wysiłku wzrokowego, odczuwają po pewnym czasie pracy znużenie i ból w oczach. Znużenie to jest pierwszym znakiem ogólnego zmęczenia. Aby dać oczom na chwilę wypoczynek podczas pracy, dobrze jest skierować oczy w dal i patrzeć tak daleko jak tylko wzrok sięgnie. Naturalnie nie zawsze to możliwe i w mieście tak szerokiego horyzontu się nie ma. Ale można „zapatrzeć się" na chwilę w siebie choćby, wtedy przestrzeń znika zupełnie i jest się w nieskończoności. Takie zapatrzenie jest bardzo zdrowe, gdyż oko się odpręża, uspakaja i równocześnie wzmacnia.



Świat się śmieje

TO JEST PARYŻ

Ona: Ależ mężu, co ty robisz pod moim łóżkiem?
On: Och, nie chciałem ci przeszkadzać. Myślałem, że przyjdziesz do domu w towarzystwie swego przyjaciela (Marc Aurelio, Włochy)

✳

„Ach, ty niewierna, teraz wiem, z kim mnie zdradziłaś" (Marc Aurelio, Włochy)



I TAK ŹLE I TAK NIEDOBRZE.

— Ależ Antosiu, jesteś nieuczesany — gani nauczycielka ucznia.
— Nie mam grzebienia — odpowiada lakonicznie Antoś.
— To pożycz sobie od tatusia — radzi dalej nauczycielka.
— Tatuś nie ma włosów — odpowiada równie lakonicznie Antoś.

✳

SPRYTNY.

Kto z was utworzy mi zdanie z wyrazem proporcja? — pyta nauczyciel.
Uczeń: — Wafel lodu kosztuje 40 gr. pro porcja.

✳

MAŁA POMYŁKA.

Klara kupiła nowy abażur na lampę i pokazuje zaczytanemu mężowi.
— Czy nie jest on naprawdę śliczny? — pyta.
Mąż podnosi głowę z nad gazety i mówi:
— Wszystko ma swoje granice, Klaro. Jeżeli ten kapelusz rzeczywiście włożysz na głowę, to wychodź do miasta bezemnie.

✳



„Jaka niesprawiedliwość na świecie! Przecież to ja powinienem był zrobić"
(Guerin Meschino, Włochy)

I TO PRZEJDZIE.

— Jak się ma twoja żona?
— Prawdę mówiąc, nie widzę jej prawie wcale. Należy ona do tylu towarzystw, organizacyj i kółek, że tylko przez godzinę dziennie ją widzę.
— Biedny chłopcze!
— O, ta godzina też mija.

✳

SŁUSZNA SKARGA.

Marysia skarży się przyjaciółce:
— Stosownie do swego stopnia służbowego powinien być Piotr trochę gorętszy niż jest.
— Stosownie do stopnia służbowego? dziwi się Anka.
— Naturalnie, jest przecież palaczem na parowozie a zachowuje się, jakby był maszynistą w chłodni.

✳

ODWROTNIE.

Gość ogląda w salonie album z fotografiami. Córka domu objaśnia poszczególne zdjęcia.
— To — mówi — jestem ja, gdy byłam mała. — Taka łysa? — dziwi się gość. — Ależ pan trzyma zdjęcie odwrotnie — mówi panna zarumieniona.

✳



Pani Koralikowa, prawda?
(Söndagsnisse-Strix, Szwecja)

Zagadki

FIGIELKI SZARADOWE.

I.

Jakiś ton w powietrzu bryka
Wokół cisza, nie muzyka,
Tylko czasem słychać stuki
Maszyn wielkich oraz huki...
A ton bryka, stale bryka...
Zgadnij, co to jest, Ludwika!

II.

Chodzi dziewczę po lesie,
Dzbanek w rękach niesie,
Śpiewa sobie oj dana, dana
Kraino moja kochana.

III.

Chociaż ma on kość w sobie
Czyni wielkie przedsięwzięcia
I niekiedy nawet
Odgrywa rolę księcia!

PIRAMIDA

Pierwsza — samogłoska.
Drugi — bożek znany.
Trzeci — to skorupiak.
Czwarty — w morzu wychowany.
Piąty — kuter to rybacki.
Szóste — z drzewa zbudowane.
Siódmy — rodzaj broni.
Ósme — to siódmy w liczbie mnogiej napisany.

✳

Siedem osób, które jadają codziennie przy tym samym stole, umawia się co dzień zmieniać swe miejsca przy stole. Ile dni potrzeba na to?

✳

ZADANIE MATEMATYCZNE.

Pewien gospodarz miał żonę i dwóch synów. Żona liczyła tyle lat co syn starszy i młodszy razem. Syn zaś starszy miał połowę wieku ojcowskiego, a pięć lat więcej od brata młodszego. Syn młodszy natomiast liczył 1/6 wieku ojca, matki i brata starszego.
Ile liczyli: ojciec, matka, syn starszy i młodszy?

✳



WIZYTÓWKA SZACHOWA.

Ruchem konika szachowego począwszy od litery „w" ułożyć fikcyjną wizytówkę, z której należy odczytać zajęcie posiadacza tego biletu wizytowego.

✳

ROZWIĄZANIE ZAGADKI Z NR. 20.

Odległość między domami wynosi 4 km.





AMERYKA po hawajsku



Na przesmyku Catalina na zachodnim wybrzeżu USA obchodzi się dwa razy w tygodniu święto Luau, które właściwie jest świętem mieszkańców wysp mórz południowych. Święto to oddaje się tak wiernie, że nawet mieszkańcy wysp nie mogliby mu nic zarzucić. Ośrodkiem tego święta, jest świnia upieczona głęboko pod ziemią w piecu t. zw. „imu". Ceremonia pieczenia tej świni odbywa się według specjalnych surowych reguł. Po długich przygotowaniach, przy dźwięku gitar hawajskich wnosi się ją na stół i zjada. Uroczystość „Luau" jest ulubioną uroczystością nowożeńców, którzy w tej malowniczej okolicy spędzają swoje miodowe miesiące. Zdjęcie nasze przedstawia dwie uczestniczki tej uroczystości, które zapalają „imu". Jest to znak rozpoczęcia święta. *Fot. Ass. Press*





Wydawnictwo „Ilustrowany Kurjer Polski". Kraków, Wielopole 1. Tel. 206-11